

Człowiek, który rozdawał świece

„Wyobraźnia bez wiedzy może stworzyć rzeczy piękne.

Wiedza bez wyobraźni najwyżej doskonała.”

/ Albert Einstein/

Witaj.

Niestety, moje powitanie nie będzie tak miłe, jakby się mogło zdawać i jakże Ci się pewnie zdawało być, mój drogi.

Cóż, pozory mylą.

Przepraszam.

Trochę smuci mnie fakt, że jesteś kolejną osobą, która pyta o niego. Tylko on i on. A mnie nawet o imię nie spytasz. Ludzie tak omijają mnie, proszę zrób mi tę przyjemność, zapytaj. Bo wy tylko o tym, co ja wam przekążę, a dla mnie nic. To niesprawiedliwe.

Ala może przejdę do rzeczy, w końcu po to otworzone zostały mi bramy do Ciebie, bym ja, wyobrażenia mogła jak film przedstawić Ci tę opowieść.

Wysłuchaj się, otwórz myśli, daj trochę od siebie...

Miała umysł otwarty na wszystkie moje wybryki i zachcianki, z czego zresztą powstawały w większości obrazy, które malowała. Tak, miło jest zamieszkać w artyście. Oni tak zupełnie inaczej na mnie patrzą. Bardziej abstrakcyjnie. Lubię, gdy się tak o mnie mówi.

I cudownie było, co dzień tańczyłam sobie w toku jej myśli nad pędzlem, którym poniekąd pomagałam jej kreślić. Pewnego dnia, wpatrzona w deszczową szybę, oglądała świat pełen smutnych rzeczy, smutnych barw niemających nawet nazw, smutnych ludzi przemierzających ślepo uliczki, pełne smutnych wspomnień o byłych czasach.

Deszcz padał od rana, a chmury zamalowały niebo jako wykładane setkami kilometrów puchate waty o różnych odcieniach szarości. Brzydki obraz rozpościera się za tym pokrapianym deszczem oknem.

Smutno.

Naprawdę.

Nawet ja, co tak pełna zapału zawsze i radości, ta która daje nadzieje, w skrzydła odziewa, tych którym one dają się unosić, bo nie każdy w lot wznieść się może. A gdyby ona

tylko mogła, mieć, choć na moment, mnie wesołą, zaraz zabrałabym ją tam, gdzie nic nie ma znaczenia, nawet szarość złoci się tęczą, w świat marzeń, pięknych idei i tego, że jest drugi świat, taki jaki sobie wymarzymy. Wiem, że jej tego brakowało. I weny. Nigdy nie udało mi się jej tego wynagrodzić.

Pamiętam, że wtedy, tak to było przed południem, piła kawę, czarną. Wtedy ten nudny obraz nieco zaczął się przeinaczać w taki inny, mogący zaintrygować. Wstałam ospała trochę i przybita, co mi się przecież nie zdarza. Unieruchamiacie mnie. A ja chce biegać, skakać i rzucać kamieniem, tak, by radował się lotem i zmienił w ptaka, w ważkę, w motyla, w cokolwiek, byleby to było coś, co wam w sercu gra, taki który leci wprost w słońce, by miał życie, spełnienie w nim biło i by dawał mi tańczyć i tańczyć w wienie mojej artystki.

To takie paliwo, które mnie napędza. Szczęście. Inne też mi to dają, te smutki i rozgoryczenia, one też, ale to nie jest tym. I nawet jeśli wszystko się burzy, jakieś ogromne mury dzielą cię na dwoje, a dusza i ciało ma dość, życie wydaje bez sensu- zawsze masz mnie i daj mi śpiewać , a ja dam Ci żyć, dam Ci świat, który chcesz. Ale na moment. Byś nie oszalał. Nadmiar mnie może dawać tragiczne skutki. Nie żartuję.

Ale cóż tak uradowało mnie, kończąc te passę szarości władającej światem. Muszę zaznaczyć, że tam była szarość. Wszystko szare od ziemi po ludzkie myśli, nie było nadziei, na jakieś moje wtargnięcia z kroplami radości. I on był jak, taki nie pasujący puzzel, element przeciwny, o zwrocie kosmicznym, gdy wszystkie inne mocno stąpające po Ziemi. Stał tam. Jak klaun. W takim dużym czerwonym kapeluszu, dzwonach przykrótkich z nogawkami w szkocka kratkę, a w dłoni trzymał kosz pełen świec. Dużych i małych, i figurki ze świec miał, i świecowe popielniczki, i tak dużo pięknych rzeźb z nich było , że aż oczy ucieszone wzroku nie mogły oderwać od niego. On sam, z lekka przygarbiony, szedł wolnym krokiem, a na plecy zarzucony miał uszyty z kolorowych szmatek płaszcz. I tak nie pasował i tam. Choć tak zaintrygowana tym niecodziennym człowiekiem dałam znać mojej artystce, że to jest ponad wszelką miarę okazja.

Nie dała mi nawet dokończyć mojego tańca, w którym tak pięknie przedstawiałam te weny, a ona już stała na ulicy, szukając go wzrokiem po szarych bezkresach tej wsi. Nie było go. Zniknął. To wydawało się być dziwne, taka zdezorientowana wróciłam z nią, a tu nagle on, z lekkim uśmiechem patrzył w jej stronę, przenikając łagodnym spojrzeniem zielonych oczu. Ukłonił się elegancko i podarował świecę, dziwną, bo niebieską. W niebieskości swej nieznany był jej odcień, było w niej coś ponad ziemskiego, a miał ich wiele w różnych kolorach, nawet tęczowe widziałam. Po tym odszedł, nie mówiąc ani słowa, a ona biegła chwilę za nim, a on choć wolny, nie dał się dogonić. W tym wypadku nawet ja czułam się bezradna.

Wróciła do domu. Zapaliła świecę i wpatrzona w jej płomień dała mi taką moc, jakiej jeszcze nigdy nie doznałam u nikogo. To była moc ponad te, która widzi się normalnie, tego nie da się tak po prostu opisać.

To tak jakbyś chciał opisać miłość, na to nie ma słów. Ona ich nie ma, nie ma tam logiki ani spójności. Wszystko sprzeczne ze sobą tworzy idealny ład, w którym chaos szaleje, wszystko szczęśliwym się wydaje być, daje żyć tak, to piękne.

Piękne, gdy odwzajemnione. Jeśli nie, wtedy lepiej by nigdy jej nie było i pustka wkroczyła, jeśli coś czego nie ma, może zabrać Ci uczucia.

Płakała. Nie powinna. Nie mogłam na to pozwolić. Jednak gdybym dała jej namiastkę tego, o czym marzyła, rzeczywistość odebrałaby jej wszystko.

Płakała nad tym płomieniem. A przecież już było dobrze, już zapomniała, już nie myślała o tym, już inne miała marzenia, już prawie wyszła, już prawie...

Świeca płonęła i choć mijała godzina za godziną ona, nie zmieniała się wciąż, była tą samą, zwykła świeca o jakimś kolorze, którego nawet ja nazwać nie mogę. A ona płakała. I próbowała ugasić tę świecę. Ona płonęła niczym ogień, który wznieca ły, które spływały jej po policzku.

Gdy następnego ranka spotkała człowieka, który rozdawał świece próbowała go ominąć, gdzieś przejść inaczej, tak by nie natknąć się na niego i jego przekłete podarunki. On jednak, stał tuż za rogiem, choć dopiero co wchodził, w następną przecznicę i bez słów podarował jej świecę, inną niż tamta, blado żółtą i spojrzał jak wtedy delikatnymi zielonymi oczami. Zapytała go kim jest. Nie odpowiedział. Przeszedł kawałek dalej i skręcił w alejkę, a gdy ona dobiegła tam, rozpląnął się, zniknął, zapadł pod Ziemię.

Świat wydawał się bardziej szary niż zwykle, wszystko niknęło w smutku mojej artystki, która nawet na sztalugi nie spojrzała. Pędzle leżały nietknięte na stole, zapomniane. Nawet muzyka, moja droga przyjaciółka nie ubarwiała rzeczywistości.

Poszła na spacer. Wchodziła w różne uliczki od dawna, nie czujące kroków człowieka, gdzie zdziczałe jabłonie uginały się pod ciężarem owoców. Kurz unosił się nad drogą, pola pełne spalonej trawy ciągnęły się horyzontem, a za nim majaczyła gdzieś ona, spokojna i milcząca. Nie widziała jej. Myślami błądziła w smutnych kamieniczkach, z szarości w czerń przechodziła najgłębszą i skręcając w lipowa alejkę, obrąta kierunek do domu. Szła aleją wprost w szare słońce, a gdy zgasło zapaliła bladożółtą świecę, której jasny płomień oświetlił jej drogę i umysł, i duszę. Na moment świat nabrał kolorów, nadziei. Przez chwile jej twarz oblał niepewny uśmiech i tak szła ciemna aleją, a gdy doszła do domu, świeca zgasła, nietrwała, nie paląca się godzinami. Szczęście jest na chwilę, ukazuje słońce w chmurach płomiennej pierwszej świecy, która tliła się wciąż, lecz słabła. Ono było tak miłe, jak delikatny powiew w upalny dzień, takie światełko, gwiazda na czarnym atramencie nocnego nieba. Tak ulotne

było jak płomień na wietrze, jak uśmiech w rozpacz, jak chwila, na którą czekasz, która mija na zawsze. Ona taka była. Piękna, bladożółta, nieśmiała świeca.

Pamiętam, następnego ranka wstała, pierwsza świeca gasła i nijaka pustka weszła w nią, ni smutku, ni szczęścia nie zaznając. Malowała jakieś nieokreślone abstrakcje, a choć tak pięknie wibrowałam w jej umyśle, ona nic sobie nie robiła z moich starań. Odłożyła pędzle, tak bez emocji, bez nich czytała całe popołudnie, wszystko bezwiednie mijało jej w zapomnieniu. Tym razem ten człowiek o kolorowej pelerynie, zapukał do drzwi. Otworzyła, nie zważając na to, kim on jest, odebrała świece i mechanicznie zapaliła, wpatrując się w jej czerwony płomień. On płonął mocno.

W jednej chwili jakby z letargu powróciła do rzeczywistości. Zapytała go, kim jest. Zapytała go, kim jest, że ośmiela się bawić jej uczuciami, drążyć staranne rany, o których już zapomniała, że kieruje jej życiem. Zapytała, a on nie odpowiadał. Stał tylko z kamienną twarzą, a w jego zielonych oczach odbijały się błyski świetlane. Podeszła bliżej. Mieniły się jej obrazy z życia, różne zapomniane, radości i smutki i te, o których nie może zapomnieć. Czym były te świece, kim był człowiek w wielkim czerwonym kapeluszu? Czym były te świece, te kolorowe, ponadziemskie, czym? Zapytała go kolejny raz. Usłyszała tylko: „Dlaczego pytasz o to kim jestem, skoro znasz mnie od zawsze?”

Anna Kuczkowska

